№ 7. 13. Lutego 1893.

TYDZIEŃ

Dodatek Literacki Kurjera Lwowskiego

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z ostatnich listów Lenartowicza.*)

Florencja 28/1 93, via Montebello 24.

Najczcigodniejszy Panie!

Na zaszczytne Jego wezwanie pospieszam z odpowiedzią.

Rady całem sercem służyć w dostarczeniu szczegółów, dotyczących mojej karjery literackiej, prawdziwie znajduję się w trudnych terminach, już to z powodu, że nigdy nie przyszło mi pisać o sobie, ani nawet w poufnych listach wspominać, a powtóre że w obecnej chwili cały jestem zajęty korektą manuskryptów, które jeśli mnie moja miłość autorska nie uprzedza, zawierają w sobie roboty, jedynie może zasługujące na przyjrzenie im się z bliska i ocenienie.

Manuskrypta wspomniane mam zamiar zabrać ze sobą do Lwowa, i pod sąd Wasz, Najczcigodniejszy panie poddać przed podaniem do druku.

Po ogłoszeniu publiczność będzie miała wyobrażenie o łuku, jaki przebiegłem myślą, i jak wszystko co mi pod oczy podpadało, dołężnie czy niedołężnie starałem się naznaczyć.

Jedna rozmowa z Najczcigodniejszym panem więcej go objaśni o stosunku moim do młodych literatów Warszawskich z przed pół wieku, niżby się to dało zawrzeć w rozległej korespondencyi.

Epoka to ciekawa i godna współczucia, zważając na warunki, w jakich znajdowała się młodzież ówczesna, na konspiracje, na idee, poruszające umysły i na brak szkół wyższych.

Żywem słowem da się to lepiej zrobić niż pismem do którego zasiadając, a mianowicie kiedy się ma mówić o sobie, jakoś się dziwnie na sercu robi, bo co ja wart? i jakie były moje tryumfy(!)

A prawda, trzy razy — w Krakowie w r. 1848, kiedy przedstawiono mój dramat p. t. *Wskrzeszenie* (zatracony przez Amatorów, którzy go przedstawili) i *Tyrteusza* wiersz recytowany na scenie krakowskiej; ten ostatni powierzyłem był Anczycowi, który, jak słyszę, piękniejszy napisał, ale już po mnie (wiersz zaś mój zatraciłem).

„Jutrzenka Krakowska“ zamieściła o dramacie słów kilka pisarza Leona Ulrycha, w których arcypochlebnie o autorze się wyraziła — a przyjęcie w teatrze o mało mię w pychę nie wbiło — szkoda że to zaginęło, a no, cóż robić.

Wiem, że o mnie pisali Fr. Lewestam — J. I. Kraszewski, Szulc Dominik, pr f. — Lucjan Siemieński, że wspominali Trentowski i Libelt — ale gdzie to i kiedy było ogłaszane wymienić nie potrafię — pisał także WP. Wójcicki, Grochowski i Starkel. A czy która Literatura wspomina o mnie, nie wiem.

W Bruxelli w r 1850 uciszyłem się i z hymnu zeszedłem do prostej powieści *(Błogosławionej)* powitanej serdecznie przez jedynego prawdziwego przyjaciela J. I. Kraszewskiego.

Drugi mój tryumf — to chyba mowa na kopcu Kościuszki — a trzeci

Entuzjazm Studentów na Uniwersytecie Bolońskim, kiedym po trzeciej konferencji wchodził do Auli, — okna się trzęsły i ręce wyciągały do mnie, a krzyk ogłuszał: *e Viva la Polonia!*

Za które to współczucie odpowiedziałem — Nie dla mnie ale dla tej, która szlachetne serca wasze, panowie, niezmierną boleścią porusza, przyjmuję wasze słowa, najniższy i najnieznaczniejszy pomiędzy swoimi — *e Viva Italia!*

Ale dość — nagadamy się do woli za widzeniem się we Lwowie — gdzie jedynemu dziś w kraju (Galicji, *Rd.*) bezstronnemu, najzacniejszemu krytykowi wyspowiadam się ze wszystkich grzechów literackich mojego żywota, ośmielony listem, który z żywą radością czytałem i za który raz jeszcze dziękuję — pisząc się Jego prawdziwym sługą

T. Lenartowicz.

*) List niniejszy jest odpowiedzią na zapytania jednego ze znanych naszych krytyków, który zamierzał skreślić sylwetkę literacką nieodżałowanego autora „Lirenki“.

Wyższe wykształcenie kobiet.*)

Wyższe wykształcenie kobiet jest jeszcze u nas związane z takim szeregiem niepokonanych trudno-

*) Oba kobiece pisma warszawskie: *Bluszcz* i *Tygodnik Mód*, jakkolwiek wybitnie zachowawcze i redagowane przez osoby należą e do starszego pokolenia,

ści, iż staje się dostępnem dla bardzo tylko zamożnych, lub bardzo silnych wolą.

Dla pierwszych stoją otworem wrota wszechnic francuskich, włoskich i szwajcarskich. Drugie, te które zazwyczaj więcej się garną do wiedzy, bo ma im ona nietylko otworzyć szersze horyzonty, lecz przyszłość zapewnić, mniej zamożne, lub zupełnie ubogie, w smutnem są położeniu. Wyjazd na lat kilka za granicę nietylko setki lecz tysiące pochłania. Nie mając funduszów takich, zmuszone są kosztem zdrowia i życia, kosztem trudów mozolnych zdobywać samoistnie, lub na drodze prywatnego nauczania każdy okruch wiedzy, każdą prawdę naukową, na stwierdzenie której brak laboratorjów, okazów, środków pomocniczych, etc.

Wobec warunków tych sądzimy, iż ciekawemi będą dla naszych czytelniczek szczegóły organizacji, jaką wprowadziła w wyższem nauczaniu dziewcząt najbardziej konserwatywna, lecz w gruncie najbardziej postępowa, najzdrowiej na kwestją tę zapatrująca się Anglja.

Zamiast walczyć, jak Niemcy, z ogarniającym ją prądem i coraz nowe trudności stawiać kobietom rwącym się do nauki, praktyczny Albion wyszedł z zasady wprost przeciwnej.

— Kobiety są częścią naszego społeczeństwa, częścią nas — powiada. — Oszczędzając ich siły, oszczędzamy siły ogółu. Skoro więc mają się już uczyć, niech się kształcą w warunkach, któreby zamiast podkopywać ich zdrowie i tłumić zdolności, rozwijały przeciwnie tak jedno, jak drugie.

Na tej zasadzie powstały słynne już dziś kolegja uniwersyteckie dla dziewcząt. Nie są to, jak mylnie sądzą u nas, te same wszechnice, do których uczęszczają mężczyzni. Przeciwnie; zakłady to zupełnie osobne i odrębne, w których kobiety znajdują wzorowe urządzenie naukowe i hygieniczne, niezależność, połączoną jednak z nadzorem i moralną opieką, a wreszcie wykłady i prelekcje udostępniające im ten sam zakres wiedzy, z jakiego dotąd korzystali męscy tylko słuchacze.

Na dowód rzućmy okiem *à vol d'oiseau*, na starożytną i przesławną wszechnicę w Cambridge.

Otwarcie jej dla kobiet ogólny wzbudziło podziw, a jednak pisząc o tem, nikt — o ile pamięjam — nie zaznaczył u nas, na jakich warunkach wstęp ułatwiony im został.

Tymczasem napróżno wśród poważnych muzeów średniowiecznej *alma mater* szukalibyśmy jasnych sukienek niewieścich. Królestwo dziewcząt, to Newnham-College.

Wzniesione w pobliżu słynnej wszechnicy kolegjum składa się z trzech olbrzymich gmachów, rozrzuconych na dziewięciu akrach ziemi, które, rzecz prosta, stanowią jeden wielki ogród. Gmachy te lekkie, zalotne, pełne słońca i światła, niepozbawione architektonicznych piękności, obejmują mieszkania dla przełożonej, wice-przełożonej i stu pięćdziesięciu słuchaczek, z których każda ma pokój osobny, niektóre zaś bogatsze po dwa pokoje.

Wielki ów zakład powstał w lat kilka zaledwo. W 1875 roku jeszcze nieżyjąca dziś miss Clough, inicjatorka i założycielka całego kolegium, utrzymywała tu poprostu „stancją“ dla pięciu studenek, którym osobne urządzała wykłady. Dziś natłok ich jest tak silny, iż z rokiem przyszłym mają przybyć nowe pawilony, mieszczące drugą równą obecnej liczbę słuchaczek.

Całe kolegium posiada wspólną dyrektorkę, mrs. Sidgwick, każdy jednak z pawilonów pozostaje pod zarządem osobnej wice-dyrektorki. Na czele jednego z gmachów stoi panna Helena Gladstone, córka słynnego dyplomaty, męża stanu i prezesa ministrów.

Pawilony są rodzajem olbrzymich pensjonatów. Znajdujemy więc w każdym wielką salę jadalną, wielką bibliotekę i czytelnię, salon i buduar, oraz salę koncertową, mogącą pomieścić przeszło czterysta osób. Wszystko to stanowi własność ogólną studentek. Reszta gmachu zajęta jest na prywatne ich mieszkania.

Sama biblioteka obejmuje przeszło siedm tysięcy tomów; z racji zaś świetnych odznaczeń, jakie pozyskała w matematyce miss Fawcett, wszystkie stowarzyszenia naukowe angielskie nadesłały tu w darze swoje wydawnictwa, drogie jak wiadomo, a obejmujące 400 tomów. Wstęp do biblioteki wolny zupełnie.

Sale wykładów zajmują gmach osobny. Prócz tego pod nadzorem głównej dyrektorki istnieje mały, wzorowo urządzony szpital, który w razie chorób zakaźnych może być zupełnie od reszty mieszkań odosobniony.

W ogrodzie zbudowano niewielkie laboratorjum chemiczne, w mieście samem tak zwane laboratorjum Balfour'a do badań fizycznych i biologicznych. Studentki mają sobie przytem oddane osobne przestrzenie do sportu i gier towarzyskich do lawn-tennis, krokietu, gimnastyki i t. d. Mieszkanie prywatne dostaje każda urządzone ze skromnym lecz wykwintnym komfortem. Prócz tego wolno jej przybrać swoje pokoje nawet artystycznie i zbytkownie, jeżeli tylko ma stosowne ku temu fundusze.

Przez mury wzorowego tego zakładu przesunęło się dotąd ośmset słuchaczek. Kwestji wykładów nie poruszamy, są one bowiem ściśle te same co dla mężczyzn, a sława Cambridge'u w dalekie rozbrzmiewa kraje. Studentka, chcąca zdobyć wstęp tutaj, musi mieć skończonych lat ośmnaście i zdać nader surowy egzamin. Jeżeli wreszcie wywiąże się pomyślnie z tej próby, a następnie nie uzyska przez dwa lata w żadnym dziale zaszczytnych odznaczeń, zostaje bezwarunkowo z kolegium wydalona. Tylko bardzo zdolne i bardzo pracujące utrzy-

---

czyniąc zadość wymaganiom i potrzebom chwili, umieszczają skrzętnie informacje o postępowych dążeniach kobiet. Jeden z takich artykułów, omawiających sprawę kolegiów uniwersyteckich dla kobiet w Anglji, przytaczamy w tem miejscu, jako zasługujący na uwagę.

mać się tu mogą. Zasada to niewzruszona a dążąca do tego, aby mniej wybitnych nie odrywać od zajęć i pracy ręcznej.

Opłata, jakkolwiek zależna od lokalu zajmowanego przez studentkę, nader jest umiarkowaną. Obejmuje ona mieszkanie wraz z utrzymaniem, wszelkiemi wygodami i wpisem za wykłady, a podnosi się od 25—30 gwinei rocznie, płatnych z góry w ratach kwartalnych. Słuchaczki, liczące wyżej nad lat 30-ści, mają prawo mieszkać w mieście i pomimo tego uczęszczać na prelekcje. Dla miejscowych w zamian opieka jest ustawiczną a reguły niewzruszone. Nie wolno naprzykład bez specjalnego zezwolenia być za murami zakładu o godzinie 8-mej minut 30 latem, a 6 minut 30 zimą, popołudniu.

Kwestja wykładów naukowych w podwójny załatwia się sposób. Jedne przedmioty rozwijane bywają przez osobne prelekcje, na które przyjeżdżają z Cambridge najpierwsi profesorowie tamtejszego uniwersytetu, na inne wykłady studentki udają się do głównego gmachu wszechnicy; tam również odbywają się egzamina, przy których bywa obecnem całe ciało naukowe tej starożytnej chluby Anglji.

Jak widzimy więc, kolegjum dla dziewcząt odcięte jest zupełnie od męskiego uniwersytetu. Studenci i studentki spotykają się tylko przy egzaminach lub na zebraniach towarzyskich, o ile się nawzajem zaproszą. Słuchaczka uniwersytetów w Cambridge, Oxfordzie lub innych, nie wychodzi z pod troskliwej opieki niewieściej, nie narażoną jest na żadne niebezpieczeństwa, żadne przykrości. Mieszka w zakładach, stojących wysoko pod względem zdrowotnym, bo umieszczonych wśród ogrodów, pól i lasów. Równocześnie z umysłem rozwija siły fizyczne i wychodzi z dyplomem doktorskim nie zmarnowana, wynędzniała, pracą zarobkową znużona, lecz świeża, zdrowiem kwitnąca, wytworna i elegancka.

Tak — powiecie — zamożne, ale ubogich los taki, jak u nas.

Przeciwnie, samo Newnham-College, a Anglja liczy takich wiele, posiada 12 stypendjów (każde na dwa lub trzy lata) dla tyluż zdolnych, lecz niezamożnych uczennic, które, otrzymując zupełnie darmo całe wykształcenie i utrzymanie, starają się później za doznane dobrodziejstwo wywdzięczyć przez dopomaganie innym, ubogim towarzyszkom.

Liczba stypendjów tych wzrasta zresztą z każdym rokiem. W Anglji garną się do nauki nietylko kobiety, potrzebą zmuszone, lecz wszystkie te nawet, które los na najwyższem stanowisku postawił. Sprawą uniwersytetów niewieścich zajmuje się cała arystokracja, cała Anglja, rodowo i pieniężnie na czele kraju stojąca.

Rosną więc stypendja, rosną udogodnienia. Nie wystarcza tam dziś, by panienka, której kołyskę już mitra książęca zdobiła, doszedłszy lat 17, zbrojna we francuzczyznę i muzykę, wprowadzaną była na targowisko małżeństwa, na huczne bale i zabawy. Nie, ona w 17 roku naprawdę dopiero uczyć się zaczyna, by wejść w świat, ale ze świadectwem dojrzałości umysłowej.

Na stwierdzenie prądu tego, który ogarnia najsilniej możne i wpływowe właśnie sfery arystokracji i plutokracji angielskiej, przytaczaliśmy iż przełożoną i wice dyrektorką Newnham-College, jest panna Gladstone, córka „ojca narodu“, jak go nazywają.

Z kolei zobaczmy, kim jest pani Sidgwick, główna przełożona i dyrektorka całego kolegium.

Córka głośnego w polityce lorda Balfour a wnuczka margrabiego Salisbury, kobieta wpływów rozległych, poświęciła ona życie całe ukochanej swej idei, wykształcenia kobiet. Uprzejma, słodka, niezmordowanie czynna — jak zapewniają pisma angielskie — roztacza iście macierzyńską opiekę nad każdą z uczennic, przyczem losem ich stara się zainteresować najbardziej wpływowe koła.

Wobec takich przedstawicielek, cóż dziwnego, że arystokracja rodowa, będąca w Anglii arystokracją rozumu zarazem, wzięła za cel swój popieranie wykształcenia kobiet i, że dzięki nietylko groszom wdowim lecz i jej ofiarom, powstają tam równie wzorowe jak Newnham-College zakłady.

Anatol Krzyżanowski.

Błażej Chotierzinsky.

Napisał

Alojzy Jirásek.*)

I.

Żelazne drzwiczki uchyliły się w kamiennym dachu wieży i na zębatych murach hodonińskiej fortecy ukazał się Błażej Chotierzinsky, najwyższy hetman w wojsku króla Jerzego**), które po zaciętych a krwawych bitwach pod Hradiszczem cofnęło się do Hodonina i tu się zamknęło.

Czerwcowy dzień świtać zaczynał. Na znacznej tej wysokości przepływał o rannej godzinie prąd

*) Imię Alojzego Jiráska, sławne i głośne u pobratymców Czechów, tem bliższe i sympatyczniejsze jest dla nas, że Szanowny autor przedstawia niejednokrotnie w pięknych swych utworach typy polskie. A kreśli takowe nietylko umiejętnem, lecz i nader przyjaznem dla nas piórem, jak naprzykład w „Sobocie“, znanej czytelnikom naszego pisma powieści, osnutej na tle wypadków z r. 1863., lub w wytwornym historyczno-obyczajowym obrazku z XV. stulecia p. t. „Maryla“.

**) Jerzy Podiebradzki, ulubieniec narodu czeskiego, panował od r. 1458—1471. Pozostawał on z naszym Kazimierzem Jagiellończykiem w stosunkach trwałej przyjaźni, której zerwać nie potrafiły knowania przewrotnych intrygantów. Przyjaźń tę wzmocniły owszem zaręczyny córki Jerzyka, Ludmiły, z Władysławem Jagiellończykiem, który po śmierci Podiebradzkiego osiadł na tronie czeskim. Konny posąg walecznego króla, dłuta rzeźbiarza Sznireka, wzniesiony kosztem rodzinnego miasta Podiebrady na placu wystawowym w Pradze w roku 1891, zwracał powszechną uwagę tak imponującą wielkością, jak artyzmem wykonania. *(Przyp. tłum.)*

chłodniejszego powietrza, rozwiewając siwe wąsy polnego hetmana, który bezwiednym ruchem naciskał czapkę głębiej na zorane zmarszczkami czoło, i w płaszcz się otulał. Panu Błażejowi było zimno. Nie tyle może od rannego chłodu, ile od niewywczasowania się. Do późna w noc wspólnie z panem z Mosznowa i na Hodoninie, który pozostał wierny królowi Jerzemu, przeglądał hetman wojska, oczekując lada chwila szturmu ze strony Węgrów. A gdy widocznem już było, że Węgrzy dziś z obozu nie wyruszą i pan z Mosznowa udał się na spoczynek, pan Błażej pośpieszył do syna. Na murach, gdzie życiu jego groziło niebezpieczeństwo, było mu jakoś lżej na sercu. Znajdował się tam we właściwym sobie żywiole, zapominał. Ale tu, w tej komnacie! Syn ciężko ranny, dręczony nadto gorączką, żałośny przedstawiał widok! I nicby mu nie pomogło, gdyby nawet stary ściął jednym zamachem głowy dziesięciu Węgrom, jak nie pomoże mu i ten szarlatan, co u łoża chorego siedząc, wciąż pociesza i pociesza, że stan jego wkrótce na lepsze się odmieni. Syn dogorywa, niknie w oczach. Jak zęby zacina biedak, jak się przezwycięża, aby nie jęknąć! Taki piękny, silny, waleczny!

Jaką to znakomitą wycieczkę przedsięwziął był i wykonał z Hodonina na Węgry, nim tu nadciągnął król Maciej*), aby w imię słuszności pokazać Węgrom, jaką zapłatę otrzymują ci, co tak gospodarują na obcej ziemi, jak oni tu na Morawie i w Czechach. Zdobyczy wojennych i harażu dość, o, dość przywiózł ze sobą, wozy miał naładowane wszelkim dobytkiem, ale przywiózł zarazem i tę ciężką ranę.

Wracając teraz właśnie od niego, stary Chotierzinský wzdychał głęboko a często. Ale znalazłszy się już na murach, odetchnął swobodniej. Leżące u stóp jego podwórze wraz z wszystkiemi zabudowaniami jakoteż całe miasto tonęły jeszcze w szarym zmroku. Cisza dokoła. Sen panuje. Na bastjonach tylko i hen, na rynku, gdzie czernieją wozy bojowe do kupy zsunięte, widać snującą się straż. I w węgierskim obozie cicho, jak gdyby tam wszelkie życie wymarło. A z wieczora jaki hałas, jaki ruch wrzał w nim aż do późnej nocy! Co tam szykowali, do czego się sposobili? Do szturmu? Dlaczegóżby więc zaniechali zamiaru? A zresztą czekajcie, aż nadciągnie Jego Mość król Jerzyk! Okażcie wówczas swe bohaterstwo! Teraz, dzięki przemagającej sile, nie trudno wam toczyć walkę z garstką, zamkniętą w mieście, dziesiątkowaną chorobą. Przeklęte moczary, szatańskie bagna!

I wzrok hetmana, odrywając się od nieprzyjacielskiego obozu, pobiegł, posępny, ku stojącym wodom, które połyskiwały, niby zwierciadła, w brzaskach świtania dokoła szarawej równiny, lub czerniały pod osłoną trzcin i gęstych zarośli.

Błażej Chotierzinský okrążał zwolna dach stromej wieży, stąpając tak śmiałym i pewnym krokiem na tej wielkiej wysokości, jak gdyby szedł podwórzem, aż znalazł się na wschodniej stronie. Tu właśnie dostać się zamierzał. Siwe, bystre jego oczy pobiegły z pod gęstych, białych brwi za rzekę Morawę hen, ku granicy węgierskiej. Oczekiwał stamtąd drugiego, młodszego syna, który wziął ze sobą przeszło trzydzieści znakomitych wozów i koło sześciuset ludzi. Wydostał się on szczęśliwie z Hodonina w chwili, gdy Węgrzy już-już mieli otoczyć miasto i nie dając się nic a nic zastraszyć raną, którą brat przywiózł z wyprawy węgierskiej, opuszczał fortecę z wesołem męztwem. Powinienby już tu być. — Kiedy? — Przedwczoraj oczekiwał go pan Błażej z całą pewnością — Deszcze musiały go zatrzymać. A może...

Byłoby to okropne! — Ten leży tam na dole, a drugi nie miałby już nawet wrócić — i on, stary, miałby ich obu przeżyć! — Że też posłańca nawet nie przysłał! — Coby tam stać się takiego mogło? A jak bardzo byłby tu potrzebny ze swymi ludźmi i wozami, jeżeli na tych ostatnich znajdują się zapasy żywności. Żołnierze padają jak muchy, lecz nie od miecza, tylko od choroby i głód już szerzyć się zaczyna. Zdeniek wyjąłby im cierń z rany, gdyby wrócił. Mogliby jeszcze wytrwać przez jakiś czas, a później nadciągnie król z pomocą i wybawi ich ze srogich kleszczy. — Ale o Zdeńku ani słychu. — Obawia się chyba, że nie zdołałby dostać się do fortecy? Oh, nie. wszak dobrze wie, że „tatik“ wypadłby nagle z miasta na Węgrów i potrafiłby ich zabawić, dopóki syn nie wśliznąłby się między mury z towarzyszami i wozami. — Musiało widocznie spotkać go jakieś niepowodzenie.

I zachmurzyło się oblicze hetmana polnego i nie rozjaśniło nawet wówczas, gdy szeroko rozściełająca się u stóp jego okolica, rozpromieniła przepięknie: gdy rzeka, stawy i moczary rozbłysły w porannych blaskach, gdy wchodzące słońce zalało wieżę i szczerbate mury, na których stał, falą złotego, wspaniałego światła.

W tej chwili z po za żelaznych drzwiczek dało się słyszeć trwożne, bojaźliwe wołanie.

— Co się stało? — zawołał hetman, budząc się z zamyślenia.

— Pan Błażej — zaczął głos i urwał nagle, stłumiony wzruszeniem.

— Alboż mu gorzej?

— Gorzej — on —

Stary Chotierzinský okrążył pośpiesznie dach wieży, a gdy zgiąwszy się wszedł przez żelazne drzwiczki na schody, spotkał tam sługę i dojrzał pomimo panującego zmroku, że stary żołnierz ma twarz zapłakaną.

— Czyżby?!... — wyrwało się okrzykiem z piersi hetmana.

---

*) Okrutny a dziki Maciej, nie pomny wdzięczności, jaką był winien Podiebradzkiemu za osadzenie go na tronie węgierskim, nie pomny związków krwi, jakie go łączyły z królem czeskim, którego córkę Katarzynę pojął był za żonę, dał się nakłonić papieżowi do krucjaty przeciwko Jerzemu, jako utrakwiście. *(Prz. tł.)*

Sługa skinął tylko twierdząco głową i przesunąwszy dłonią po oczach, szedł w ślad za hetmanem, który pędził jak burza na dół kręconemi schodami. Gdy sługa znalazł się na ostatnim stopniu, pan Błażej był już u celu, a gdy zbliżał się do komnaty, w której leżał starszy z dwóch synów hetmana, otworzyły się gwałtownie podwoje i wyleciał niemi przerażony felczer. Pan Błażej wyrzucił go drzwiami.

— A pocoś wciąż cieszył i obiecywał — zauważył żołnierz, poczem pochyliwszy głowę zaczął nadsłuchiwać. Ale za drzwiami panowała cisza

II.

W węgierskim natomiast obozie wszczęła się okrutna wrzawa, której odgłosy dobiegały wyraźnie aż do miasta. Straże czeskie zauważyły tam niezwykły ruch. Hufce przesuwały się z miejsca na miejsce, a w końcu przybył jakiś nowy, dość liczny, z wozami. Witano go tam z szumną radością. Przed samem południem oznajmiono panu Błażejowi o przybyciu posła od króla Macieja. Hetman poszedł natychmiast z nim się rozmówić. Twarz miał posępną, ale stąpał niemniej pewnym, jak zwykle krokiem, nie zwracając uwagi na ciekawe i współczujące spojrzenia, jakie się ku niemu skierowywały, wiedziano już bowiem ogólnie, że zmarł mu najstarszy syn, waleczny Błażej, który wziął imię po ojcu,

Poseł przynosił wezwanie króla Macieja, aby miasto i wojsko poddały się Węgrom.

— Pilno wam bardzo, ale nam nie pilno — odparł Chotierzinsky i miał się ku odejściu. Usłyszeliście zapewne — dodał. — że Jego Miłość król nasz nadciąga i radzibyście załatwić sprawę. nim was stąd odeprze

Poseł zaprzeczył stanowczo, twierdząc, że o wojsku króla Jerzyka niema dotąd żadnych wieści, że król teraz dopiero gromadzi je w Czechach.

— A więc zaczekamy— odparł lakonicznie hetman.

— A czy nie wymrzecie przedtem z głodu? — Na pana Zdeńka, twego syna, rozliczać już nie powinniście.

Chotierzinsky drgnął, ale wnet zapanował nad sobą.

— Wszak go nie macie? — zauważył z uśmiechem.

— Mamy — odparł przekonywająco poseł.

— Jakto, z całym taborem, ze wszystkimi ludźmi? — pytał stary hetman, ciągle się jeszcze uśmiechając.

— A tak, ze wszystkimi ludźmi.

— Ej, toście ich chyba pojmali na lep, jak gili! - zaśmiał się Chotierzinsky.

— Więc nie raczysz wierzyć?

— Nie wierzę! — zaprzeczył z żywością hetman.

— A jeżeli ci powtórzę raz jeszcze, że to prawda, że ich mamy, że wszyscy są zabici...

— Co do jednego? — zapytał hetman, krzywiąc ironicznie usta.

— Co do jednego.

— Odejdź! Nie mam dziś usposobienia do żartów. Daj mi więc spokój i idź sobie. - A powiedz Jego królewskiej Mości Maciejowi — dodał stanowczo — że gdyby nawet i tak było, miasta mu nie oddam i pozostanę wierny swemu królowi aż do śmierci.

Zawrócił się i odszedł.

Naradzał się następnie z panem Wilczkiem z Czenowa, najstarszym wodzem nad wozami, a przygotowawszy wszystko na wypadek, gdyby Węgrzy zdecydowali się uderzyć na miasto, odszedł na zamek, aby módz czuwać osobiście nad urządzeniem ostatniego posłania dla Błażeja. Chciał pogrzebać syna dziś jeszcze. Jutro było niepewne, a w taki upalny czas, gdy powietrze i bez tego już było całkiem zarażone, lepiej nie zwlekać z pogrzebem. Nie ulega wątpliwości, że Błażej nie żyje, na cóżby się więc przydało trzymać go o dzień dłużej, skoro już nie wstanie! Zaczekałby jednak, aby Zdenik mógł jeszcze brata zobaczyć, gdyby wiedział przynajmniej, że w nocy nadciągnie. I co ten poseł za bzdurstwa mówił?

Musiał to być zwykły podstęp ze strony Węgrów, dla napędzenia strachu. Twierdzili, że Zdenka i wszystkich jego towarzyszy wymordowali... Tożby całe piekło musiało być chyba przy Węgrach! — Nie, niepodobieństwo.

Nie wierzył, a jednak wciąż wracał myślą do tego przedmiotu i bolesna trwoga szarpnęła jego piersią, gdy stanąwszy przy trupie mężnego syna, pomyślał, że i ten drugi, młodszy, ten zwinny Zdeniek... (Dokończenie nastąpi.)

Tańczącym w żałobną rocznicę.

Och! tańczmy, tańczmy i pójmy się szałem
Radości, zabaw bez końca i miary;
Przez życie bieżmy z tanecznym zapałem,
Nie znając, co to łzy, trudy, ofiary...

Cóż nam, że Matka-Ojczyzna w mogile
W niemocy ciężkiej bezwładna spoczywa,
Stu lat niewoli upływają chwile,
A zmartwychwstania dzień nam nie przybywa...

Cóż nam, że w koło widma nędzy blade
Pląsają z nami nad maluczkich tłumem —
Cóż nam, gdy w huczną, wesołą biesiadę,
Głodnych doleci jęk posępnym szumem.

Cóż nam, że z zimna giną tam nędzarze,
Kostniejąc w izbach, co w śnieżny szron zdobne,
Ciepła im przecież nie ześlemy w darze,
Bo serca nasze do lodu podobne.

Cóż nam, że lud nasz w otchłani ciemnoty
Błądzi rozpacznie — w występek popada,
Tem jaśniej za to błyszczą nasze cnoty,
Chociaż je skromność osłonićby rada.

Więc tańczmy! — tańczmy i pójmy się szałem
Ciemnoty, nędzy bez końca i miary...
Przejdźmy przez życie z tanecznym zapałem,
Nie nam przystoją łzy — trudy — ofiary...

Ellen.

We Lwowie, d. 3. lutego 1893.

Żydzi o kwestji żydowskiej.

VI.

Przedstawiwszy w ten sposób stan rzeczy, zapytuje dr. Caro dalej, dlaczego też żydzi, rasa umysłowo tak zdolna, w swem życiu duchowem i zarobkowem tak często zaniedbują przepisy moralności, że wywołują publiczne zgorszenie, nie pomni, że mimo swej solidarności właśnie swym bezwzględnym egoizmem sami sobie najbardziej szkodzą. Antysemici tłumaczą to przepisami talmudu i właściwościami rasy, i dr. Caro analizuje oba te wyjaśnienia.

„Nie wdaję się w spór o talmudzie — mówi on — gdyż na tem się nie rozumiem. To jednak mówię antysemitom w oczy, że gdyby komu udało się przeprowadzić dowód, że żydowscy nauczyciele moralności w czasach ucisku żydów, głosili faktycznie najpotworniejsze i najwstrętniejsze doktryny o prześladowaniu chrześcjan, uważałbym to za rzecz zupełnie zrozumiałą i historycznie ugruntowaną. Wszakżeż nauka chrześcjańska nie mogła położyć tamy okrutnym prześladowaniom żydów, bo nawet księża chrześcjańscy, niepomni nauki swego Zbawiciela, prześladowali w Niemczech i w Hiszpanji żydów, w Anglji katolików, we Francji protestantów. Słusznie przeto nie możnaby i uciśnionym żydom wziąć za złe, jeżeli by nienawidzili, przeklinali, oszukiwali a nawet mordowali swych prześladowców. Kto sieje nienawiść, ten też nienawiść zbierze. Jeżeli nie wierzę w morderstwa rytualne, to nie dlatego, jakobym upatrywał w nich sprzeczność z prawdopodobnem usposobieniem dawniejszych żydów względem chrześcjan, lecz dlatego jedynie, ponieważ takowe absolutnie się nie zgadza z żydowskimi przepisami religijnymi. Nie chcę również badać, czy prześladowanie żydów w wiekach średnich było więcej wynikiem ich lichwiarstwa, czy też religijnego fanatyzmu ludności. Lecz dzisiejszych stosunków, dzisiejszego panowania kapitału ruchomego z przepisów talmudu wytłumaczyć sobie nie mogę. Czegokolwiek zaznali żydzi w przeszłości, wszakżeż w nowszych czasach nabyli praw cennych, za które obowiązani by byli odwdzięczyć się sumiennem spełnianiem obowiązków obywatelskich. Nie przeczę, że ogólnie biorąc, żydzi spełniają przepisy ustawy, ale dla obywatela za mało jest unikać tego, co ustawa karna zabrania. Zwłaszcza żyd współczesny ma podwójne obowiązki: spłacić dług przeszłości dla swej nowej ojczyzny, która go otacza opieką prawną i przyczyniać się dzielnie do produkcyjnej pracy społecznej. Lecz zamiast tego cóż widzimy? Żyd zapragnął i osiągnął przywileje, które mu się nie należały, z prześladowanego stał się prześladowcą i to jest źródłem antysemityzmu.

„Również rasowe różnice nie są tak znaczne, by mogły wytłómaczyć bezwzględność żydowskiej pogoni za zyskiem. Istnieje cały szereg żydowskich właściwości rasowych, jako to natrętność, arogancja, pyszałkowatość, właściwości społecznie wcale nieszkodliwych, które więcej szkodzą samym żydom, niż chwilowo gniewają chrześcjan. Śmiech, nie zaś nienawiść byłaby na nie słuszną odpowiedzią. Powszechne oburzenie przeciw żydom wywołują inne ich właściwości, a zwłaszcza niemoralność i zarobkowania. Zresztą jeżeliby nawet rasa semicka posiadała nawet od początku pociąg do szachrajstwa i wrodzony wsręt do pracy produkcyjnej, to przecież tysiączne przykłady dziejowe przemawiają za tem, że wychowanie, ewolucja historyczna przetwarza narody tak samo, jak jednostki. Pierwotnie byli żydzi prawie przez półtora tysiąca lat narodem samodzielnym, religijnym i stali na tak wysokim stopniu moralności i poznania Boga, że przynajmniej przez pewien czas przewyższali w tym względzie inne narody. I później, dopóki Juda i Izrael były państwami samodzielnemi, mieli żydzi mimo szerzącego się zepsucia moralnego proroków wodzów, godnych stanąć obok najlepszych mężów wszystkich czasów. Dopiero ucisk żydów w wiekach średnich, wykluczenie ich od roli i rzemiosła i prawie wyłączne zajęcie się ich interesami pieniężnymi, zniewagi jakich wszędzie doznawali, wywołały przywary żydów ówczesnych. Lecz przypuściwszy nawet, że rasowe przywary żydów są pierwotne i nie dadzą się usunąć, to przecież zachodzi kwestja, czy wynikiem ich musi być niemoralność i obrzydliwość sprzedajnej prasy, pijawek lichwiarskich i bezwzględność spekulantów giełdowych? Trzymając się metody obserwacji indukcyjnej dochodzę do wniosku, że źródło tych zjawisk nie leży w religji, ani w rasie żydów, lecz w bezwyznaniowości i kosmo polityzmie żydów wykształconych, a w ciemnym fanatyzmie, braku elementarnych wiadomości u mas żydowskich i w obojętności na wszystko, co nie ma pośredniego lub bezpośredniego związku z żydami. Żyd współczesny porusza się między dwoma ekstremami — zwątpieniem i zabobonnością; prawdziwej wiary, która się domaga poświęcenia i zaparcia się swego egoizmu, nie posiada. Przywary jego wypływają, według zdania Philippsona, adoptowanego prze dra Caro, z ateizmu i materjalizmu. Ci żydzi, którzy szczerze wierzą, są zazwyczaj uczciwymi obywatelami. Kupcy chrześcjańscy są przeciętnie moralniejsi od żydów, gdyż wyznają pozytywną religję i czują się solidanymi z narodem, którego mowy używają. Kto ma religję i narodowość, znajduje w nich tę oporę, jakiej człowiek w ogóle w życiu potrzebuje. Bezwyznaniowość, którą materjalizm uznał za religję współczesną i która mówi, że dobre należy czynić dla samego dobrego, a złego unikać dla samego złego, bez nadziei na zapłatę lub na karę, bez wiary w sumienie i sprawiedliwość boską — to filozoficzne wyznanie wiary święciło w żydostwie współczesnem swój największy tryumf, lecz zarazem poniosło w niem najsromotniejszą klęskę.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

I. Franko.

Z ruchu literackiego.

Teodor Jeske-Choiński: *W Pętach*, Powieść współczesna. Warszawa 1893. Nakładem księgarni Teodora Paprockiego i Spółki.

W nowej swej powieści chce autor przedstawić i udowodnić zgubny wpływ doktryny materjalistycznej na młode pokolenie, doktryny, która według niego odbiera wiarę we wszystko, co zmysłami poznane być nie może, która każe analizować i badać skalpelem zimnego rozumu każdy poryw myśli, każde żywsze uczucie, ażeby, rozebrawszy je na atomy i pyłki, zniszczyć i ubezwładnić ich siłę. Doktryną tą przejęty jest bohater powieści, młody Topoliński, syn zamożnej, szlacheckiej rodziny w Kaliskiem. Dały mu do tego sposobność pobyt na zagranicznych uniwersytetach, wczytywanie się w nowożytnych filozofów i przyjmowanie z bezwzględną wiarą i niedoświadczeniem młodości, żądnej w jednej chwili posiąść prawdę, wszystkiego, co w nich znajdował. Tak usposobiony, zwiedziwszy Włochy i główniejsze stolice Europy zachodniej, wraca do wioski rodzinnej, Topolina, gdzie wzorowo gospodaruje jego matka z pomocą brata, Antoniego Piekarskiego. Kobieta to starej daty, konserwatywnych przekonań i głębokiej, dziecięcej niemal wiary, której nawet mąż heglista nie mógł w niej zachwiać. Obawia się ona, aby jedyny syn nie wszedł w ślady ojca. Chcąc temu zapobiedz, usiłuje go zająć gospodarstwem, zwrócić myśli jego ku religji, a nadewszystko ożenić z córką swej sąsiadki pani Jachimowskiej, dziewczyną pracowitą, spokojną, nie mającą żadnej pretensji do emancypacji i postępu. Nie łatwe to zadanie. Młody Topoliński, z wiru wielkomiejskiego życia rzucony między szlachtę kaliską, rozprawiającą jedynie o gospodarstwie, polowaniu i wincie, nudzi się śmiertelnie. Chcąc rozpędzić to przygnębiające uczucie, poczyna na nowo studjować filozofów wszystkich epok i pokoleń, z których nie brak ani jednego w bibliotece ojca. Po przepędzeniu w ten sposób kilku tygodni nasuwa mu się uwaga, że cały materjalizm to błędne koło bez wyjścia, że to samo, co wiedział już Demokryt, powtarzali następni aż do Encyklopedystów francuskich, a ich następcy znowu wynaleźli tylko nowe metody, obserwację i eksperyment, ale w wiadomości nie posunęli się ani o krok naprzód. Krytycyzm ten budzi w nim wątpliwości w nieomylność materjalizmu i wywołuje tysiączne sprzeczne przypuszczenia.

Tymczasem nadchodzi późna jesień, okrywając całą naturę jednostajnie szarą, posępną barwą. Wszystko to razem rozstroiło osłabione czytaniem i refleksją nerwy i umysł Topolińskiego; zapragnął zmiany miejsca, ruchu, życia umysłowego, cywilizacji, co znaleść obiecuje sobie w Warszawie. Z prawdziwą też radością wyjeżdża, a znalazłszy się w syrenim grodzie, rzuca się w wir życia towarzyskiego, chcąc poznać tym sposobem wszystkie warstwy społeczeństwa. Bywając u jakiejś ciotki hrabiny, poznaje świat arystokracji i wkrótce opuszcza go, znudzony, nie znajdując tam, prócz konwenansów, gładkich form, wielkomiejskich plotek, zepsucia i zbytku, nic, coby umysł lub serce posilić mogło. Z ciekawości daje się wprowadzić swemu koledze Borowskiemu w dom wzbogaconego i świeżo przechrzczonego żyda, Grynzweiga, z którego córką żeni się praktyczny koleżka. Jest to człowiek bez żadnej wartości moralnej, który teorje materjalistów wytłómaczył sobie, jak mu było najdogodniej. Używać, używać i jeszcze raz używać, bez względu na nic i nikogo: to zasada i cel jego życia; innych nie posiada wcale, co też z bezgraniczną bezczelnością głosi naokół. Za jego pośrednictwem poznaje Topoliński świat zbogaconych kupców i przemysłowców. I tam również znajduje pustkę umysłową i moralną, otoczoną lśniącymi pozorami, „wszystko jak w „świecie“ — i jeszcze w dodatku — „wszystko w bardzo lichym gatunku“. Jedyną nadzieję znalezienia prawdziwej przyjemności i posilenia umysłu widzi w towarzystwie literatów i artystów, z którymi zapoznać ma go inny kolega, Piwoński, jedna z najsympatyczniejszych postaci powieści. Biedny to chłopak, lekcjami i ciężką pracą pióra zarabiający na życie i utrzymanie swoje i rodziny. Szczerze i z zapałem oddany nauce, nie filozofuje, nie porywa się na odkrycie praprzyczyny wszechświata, podziwia tylko jego potęgę i piękność. Nad wszystko kocha przyrodę, badaniu jej oddany całą duszą, w tem widzi cel swojego życia. Z nim wchodząc w dom pani Jazłowskiej, ma sposobność przyjrzenia się tak zwanej inteligencji, która się u niej zbiera. Lecz i ten świat go rozczarowuje. Ci sławni i wybitni ludzie, od których spodziewa się tyle skorzystać, zebrawszy się wieczorem po dniu spędzonym przy żmudnej, wyczerpującej pracy umysłu, zabawiają się tak samo, jak szlachta kaliska, rozmową o polowaniu i wincie. Czasami tylko jakaś dyskusja o głębszym temacie poruszy to grono. W jednej z takich słyszy Topoliński, że ludzie wiedzy i postępu nie przywiązują największej wagi do nieomylności zmysłów, nie wierzą ślepo w hipotezy materjalistów, biorąc je bardzo oględnie i z powątpiewaniem. Wszystko to coraz więcej podkopuje gmach jego wierzeń młodzieńczych, który chyli się ku upadkowi, podczas gdy na jego miejscu nic nowego nie powstaje. Pozbawiony swojej podstawy umysł szamoce się wśród potężnych zagadnień, nie znajdując na nie żadnej odpowiedzi.

Jest to słabe odbicie w jednostce tego niewyczerpanego, wiecznie pragnącego wiedzy i pewności, ducha ludzkiego, który od wieków buntuje się i tytaniczne robi wysiłki, aby posiąść prawdę, i od wieków poskramiany wielkością i głębią zagadki wszechbytu, pogodzić się z nieświadomością nie chce.

W końcu swego pobytu w Warszawie, próbuje zawodu literata, pisząc artykuł o szlachcie kaliskiej i umieszczając go w jednem z pism postępowych, za co spotyka go w drugiem, tego samego kierunku, dzienniku, nietylko krytyka, ale „równanie z błotem“. Powodem tego, jak się później dowiaduje, była obawa rywala na polu dziennikarskiem. Nie mogąc nawet za to uzyskać satysfakcji, bo pan Wartski, redaktor owego pisma, nikomu jej nie daje, zirytowany i do ostatecznego doprowadzony zdenerwowania, wraca na wieś. Tutaj z gorączkową żywością bierze się do gospodarstwa, aby przytłumić dręczącą go myśl. Nic to nie pomaga, natura nasuwa mu na każdym kroku jeszcze więcej kwestyj, a niemożność rozwiązania ich przygniata całą jego istotę. Już nie zagląda do ksiąg

filozofów, bo stracił wiarę w swoich dawnych mistrzów; z niecierpliwością oczekuje Piwońskiego, sądząc, że on, tak spokojny, zadowolony i bezustannie czynny, i dla niego znajdzie radę. Przyjeżdża wreszcie upragniony gość, ale zamiast dyskutować, łapie bez wytchnienia ćmy i motyle, rozmawia z zajęciem z pastuchami, parobkami, nawet z staruszką, która pilnuje drobiu, mówiąc że od nich wszystkich wiele szczegółów nauczyć się może. Topoliński dziwi się, że mu taka wiedza szczegółowa wystarcza, że nie stara się objąć szerszego widnokręgu. Na to przyrodnik odpowiada, że trzeba być niedojrzałym młodzieńcem, aby się porywać do tak tytanicznego dzieła, dojrzalszy umysł korzy się przed olbrzymiością stworzenia i zamiast złorzeczyć, podziwia cuda przyrody, a w życiu pracuje w granicach możności, aby się stać użytecznym. Radzi przyjacielowi czynić tak samo, dla ułatwienia stworzyć sobie bezpośredni cel, rodzinę, ukochać choćby kobietę i choćby w jej miłość uwierzyć, ale koniecznie w coś uwierzyć. Rady tej słucha Topoliński i zwraca więcej uwagi na kuzynkę Jachimowskiej, pannę Janinę Niezabudowską, która już dawniej zajęła go pozorami inteligencji, postępowych zapatrywań i chęci wiedzy, a właściwie, choć sam sobie niejasno z tego sprawę zdaje, powabną postacią Nie obchodzi się i tu bez refleksji, kiedy jednak wszyscy, bo i wuj i matka, namawiają go do stanowczego kroku, oświadcza się i naturalnie z radością zostaje przyjęty przez rozkochaną w nim i w jego majątku pannę. Kilka następnych miesięcy inaczej patrzy na świat; namiętne uczucie wypełnia całą jego istotę i każe mu zapominać o wszelkich refleksjach. Młoda para odbywa poślubną podróż, nie odmawiając sobie żadnej przyjemności. Ale uczucie, oparte przeważnie na zmysłowym pociągu ustępuje prędko miejsca nudzie i przesytowi, tak z jednej, jak z drugiej strony.

Topoliński spostrzega u panny, wojującej niegdyś frazesami postępu, i emancypacji, próżną, żądną uciech i wrażeń kobietę, która, gdy ją już wszystko przesyciło, szuka rozrywki w romansowaniu z dowcipnym Borowskim. Topoliński, wypędzając żonę, traci ostatni punkt oparcia, pozostaje mu jeszcze dziecko, na które zaczyna zwracać więcej uwagi i w którem zaczyna widzieć cel życia.

Ale autor, chcąc tem jaskrawiej uwydatnić zgubny wpływ materjalizmu, i tej deski ratunku mu nie pozostawia. Dziecko, mimo wszelkiej pomocy lekarskiej, po krótkiej chorobie umiera. I teraz, po raz drugi, ucieka się Topoliński do życia towarzyskiego i zabaw, ale wkrótce spostrzega, że dla takiego życia już na zawsze stracony.

Dziwne jednak, że dawniej, kiedy mu świat stał otworem, kiedy posiadał wszystko, co człowieka uszczęśliwić może, był przesiąknięty pesymizmem i zdolny do samobójstwa; teraz zaś, kiedy w krótkim czasie zawiódł się najokropniej na żonie i przyjacielu, kiedy traci nawet ostatnią zachętę do życia, dziecko, „czuje, że pesymizm ten opuścił go" — że — „żal by mu było pozbywać się życia". Pragnie istnieć, nie wie tylko, na jakich podstawach zbuduje gmach swojego jutra W naukę niezawisłą przestał już wierzyć, do religijnych wierzeń nie pozwala mu wrócić zakorzeniony w ciągu lat krytycyzm. Wśród rozmyślań takich osłabione jego nerwy i podniecona wyobraźnia nasuwają mu fantastyczne wizje, które wreszcie doprowadzają go do wniosku, że poza światem, pojętym zmysłami, istnieć musi cały świat zjawisk, nie uznanych przez materjalistów, bo nienamacalny, niemniej jednak prawdziwy. Szuka jeszcze gdziekolwiek potwierdzenia tych przypuszczeń i zwraca się do ludzi. Nie mając jednak w nikim z bliskich pod tym względem zaufania, udaje się, nie wiadomo dlaczego, do Kolskiego, szermierza zasad konserwatywnych, który w obronie wstecznych przekonań zużywa całą energję niezwykle zdolnego i czynnego umysłu.

Ten radzi mu wrócić do wiary dziecinnej i „ideałów zgasłych pokoleń", pracować i być użytecznym. Gdy zaś tenże nie bardzo skwapliwie tę radę przyjmuje, wskazuje mu tych, którzy tworzą sobie nową wiarę, opartą na pozorach wiedzy pozytywnej: spirytyzm, ogarniający tak trzeźwe społeczeństwa, jak Anglji i Ameryki. Chorobliwie podniecony umysł Topolińskiego czepia się tego ostatniego — oddaje się studjowaniu spirytyzmu, nie mogąc w życiu nic użyteczniejszego i pełniejszego dla zajęcia umysłu i serca znaleźć.

Podaliśmy treść powieści, aby dać wyobrażenie, w jaki sposób autor przeprowadza swoją tezę szkodliwości materjalizmu, którego (nawiasem mówiąc) bardzo słabą i płytką ma znajomość, z czem zdradza się, uwydatniając uboczne tylko jego rysy. Jako tak powierzchownie, albo całkiem według widzimisię lichej, jak Borowski, jednostki pojęty, rzeczywiście materjalizm zgubnym być może; jeszcze to jednak nie dowód, aby był takim, jako ścisła, głęboko, a nie po dyletancku traktowana, naukowa teorja.

W każdym razie nie da się zaprzeczyć, że najnowszej pracy pana Choińskiego nie można zaliczyć do szablonowych powieści, w których rozmaite odmiany miłości i wynikające z nich kolizje, główną stanowią fabułę. Jest to powieść tendencyjna, raczej traktat o zacięciu pseudo-filozoficznem, ujęty w formę powieści, co do metody pisarskiej dosyć prymitywnej.

Co do zapatrywań społecznych, hołduje autor „ideałom zgasłych pokoleń", co łatwo poznać po sympatycznem przedstawieniu takich postaci, jak: matki Topolińskiego, jego wuja, który nigdy koleją nie jeździ, pań Jachimowskich, potępiających zbytnie kształcenie kobiet, wreszcie Kolskiego, obrońcy zasad konserwatywnych, z drugiej strony, po ujemnych sylwetkach ludzi, tak zwanego postępu, któreto pojęcie autor również bardzo ciasno rozumie, robiąc jego przedstawicielami tak lichy okaz, jak Wartski, albo tak niedouczoną próżnię i powtarzającą połapane frazesy, pannę Niezabudowską. Trzeba jednak przyznać, że i w tym obozie nie brak postaci dodatnich, jak: Strzemiński, redaktor *Zwiastuna,* i Piwoński, choć ten ostatni jest człowiekiem, nienależącym właściwie do żadnego stronnictwa, a oddanym ściśle naukowym badaniom. Autor nie chcąc, aby pracę jego zaliczono do kategorji pamfletów i aby tem samem nie rozminęła się od razu ze swoim celem, okazał dużo sprytu, nie używając zbyt czarnych barw na odmalowanie obozu postępowego.

Ja. Ka.